

S A T Y R A

Jan Ushminkiewicz

AKTUALIA

Tydzień temu, w ubiegłą niedzielę, przybył do Warszawy minister Beck — bohater wycofanego wniosku w Lidze Narodów. Entuzjazm, z jakim witano triumfatora, dał się chyba porównać jedynie do spontanicznego entuzjazmu, jaki zapanał w całym społeczeństwie w dniu ogłoszenia Pożyczki Narodowej i w dniu uchwalenia nowej konstytucji.

Tego samego dnia o parę godzin wcześniej przyjechali do Warszawy pp. Hynek i Pomaski, członkowie załogi balonu, który zdobył puchar Gordon — Bennetta'a. Hynek i Pomaski, wywindowawszy się mniejszej na wysokość Mont-Blanc, nie wycofali się z zawodów, lecz śmiało sięgnęli po zwycięstwo.

Tylko nieliczna grupka wtajemniczonych osób oczekiwała ich na dworcu. I słusznie.

Pocóżby miał kto urządzać spontaniczne przywitanie Hynka i Pomaskiego? Przecież dzień ich przyjazdu wypadł w niedzielę. Któżby miał sumienie organizować w ten dzień zbiorowe przywitanie i kazać stawić się na miejsce spotkania licznym kolejarzom, tramwajarzom, listonoszom i t. p., ludziom fizycznej pracy, harującym cały tydzień, spędzającym całe dnie na nogach...

Dobrze się stało, że nie urządzili takiego przywitania. Dobrzy ludzie wyspali się, odpoczęli i wyszli na miasto, aby w radosnym pochodzie manifestować na cześć... ministra Becka.

Zapewne manifestanci, wiwatując na cześć tego ministra, doceniali to, że dzięki jego działalności wygranie przez Polaków „Challenge'u” i Gordon-Bennetta'nabralo specyjalnie doniosłego znaczenia.

Było to bowiem bezwzględnie ostateczne zwycięstwo sportowe Polski nad Niemcami. Przecież to już każde dziecko wie: w następnych za-

wodach reprezentacji Polski i Niemiec wystąpią w jednym, wspólnych barwach. Na przyszły rok, gdy dzięki konsekwentnej polityce ministra Becka, unia tych dwóch narodów stanie się faktem — nie sposób będzie, aby Niemcy i Polska waleczyły z sobą, choćby na polu sportowym.

Przeciwnie. Będziemy brać udział w różnych międzynarodowych turniejach, ale tylko razem, tylko spólnie, ręka w rękę. Będziemy waleczyć z butą francuską, z zawadactwem czeskim i z zaboboczością włoską. Objemy wszystkich 5:0, co mówię 10:0! Nie będzie Francuz pluł nam w twarz!!!

Twardo będziemy bronić naszej Saary, wyrzuciwszy z kraju wszystkich Sary. Frontem do prastarej, prasaarej Alzacji i Lotaryngii! Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, przejdziem Odrę, przejdziem Ren, będziemy Polakami w b. Niemczech, a Niemcami w b. Polsce!

Albo to jeszcze kwestja paru długich miesięcy. Tymczasem nadal wesołmy się osobno. Demonstrujmy! Manifestujmy! Wiwatujmy! Entuzjazmujmy się! Krzeczmy! Wrzeszczmy! Nie zdejmujmy z domów flag! Nie warło.

Przecież w tych dniach rozpoczyna się „Święto mleka”. Nadechdź „Dzień oszczędności” (Prawda, przypomniatemu sobie: muszę złożyć te pięć złotych na P. K. O. Całe szczęście, że zdaje się znanym Grubera, to łatwo mi to załatwi). Zbliża się święto ulic! Potem będzie tydzień L.O.P.P.! Był już tydzień P.C.K. Trwać, zdaje się, pół roku. Ale to nie. Cieszymy się na miesiąc P.M.S.! Na kwartał S.G.G.W.! Na dekadę P.M.T.! Na tydzień D.U.P.! Na dzień B.B.W.R.! Na godzinę T.K. K.T.!

No, a najwięcej się wesołmy na kwadrans A.B.C.!

Zygmunt Jurkowski

Z cyklu „Reportaże satyryczne”

W niechlujnej krainie

Zachęcony egzotycznymi zdobyczami pewnej śmiałej reporterki (patrz reportaże: „Czarny ład — Warszawa” w „Wiadomościach Literackich”), postanowiłem zapuścić się w ponurą i pełną tajemnic, północną dzielnicę Warszawy. W tym celu umówiłem się z Panią Irką Krzywicką *), która obiecała mi w tem dopomóc. Poznałem ją na targu, gdzie sprzedawała świeże, wyglądała niezbyt powabnie, miała bowiem obszerny watowany kaftan z przekrzyżowaną na nim zieloną chustką, co ją bardzo pogrubiło.

Umówiłem się mianowicie z panią Irką, że pójdziemy razem do mykwy. O umówionej godzinie pojechaliśmy „dziewiętnastką” na Gęsią i wysiedliśmy na pełnej wybojów ulicy. Od przystanku było zresztą niedaleko, wkrótce ujrzelismy napis: „Łaźnia, kąpiele i prysznic”.

Coś mię ścisnęło za serce, uczułem lek jakiś dziwny, byłem jednak stanowczy i zdecydowany. Żadne pióro nie opisze brudu schodów, po których musiałem spus-

zczać się ku dołowi. Nie obmyśliłem jeszcze pretekstu, jakiego użyję, aby skorzystać z rytualnej kąpeli, czekałem na blysk natchnienia, weszylem konjunkturę. Na śliskich i oblepionych mydłem schodach, leżała w niedbalej pozycji, olbrzymiej tuszy postać niewieścia, w której rozpoznałem z łatwością panią Wandę Melcer. Bywając tu często, zakochała się w moim wzroku, zaklimatyzowała się, osiadła na stałe i oto pełni teraz funkcję „negelsznejderki” i odmawia „koszer”.

Mykwa zrobiła na mnie bardzo miłe wrażenie. Pełno znajomych twarzy, spotykanych codziennie w Ipsie lub Ziemiańskiej. Stoją w małym basenie, który ma kształt beczki, mieszcząc podług przepisów 40 wiader wody, czyli, jak obliczyli rabini 44118 i pół pojemności nosa Pani Johwed Migowej.

W samych tylko eigerach stoi zanurzony po kostki, Steffi Kostka - Napierski, za nim dźwigając piramidy własnego ciała, wynurza się z wody powabna postać Mojżesza Waszyńskiego, obok, wzięszy się za ręce, pluszczą się Róża Szelburg i Fanny Zahorska, dalej nurzają się Służ Włast, Jojne Lawiński, Cipe - Dwojra Jehanne, Moniek Hemar i inni równie znani, mili i lubiani. Poza obrobem basenu, ziewając i drapiąc się po

welnistych włosach, łązi paru laziebnych i szabesgojów.

Na dany znak zanurzają się wszyscy po głowę w mętnej wodzie i trwają tak długo dopóki pani Melcer nie odmówi „koszer”. Po skończonej modlitwie piramidy białego ciała wynurzają się, zlekka prychając i ociekając wodą. Wreszcie są czyści, rytualna kąpiel zdjęła z nich brud.

Nagle zwraca się do mnie „negelsznejderka”:

— Widzi pan, jaka tu czysta woda? Jej się można napić, niech pan spróbuje. Sura! przynieś szklanke.

Wącham zawartość omszałej szklanki i konstatuje, że woda przypomina zapachem wodę „melcerską”.

Spoglądam na moją towarzyszkę, panią Irkę Krzywicką, która przygotowuje się właśnie do ablucji. Jest teraz niepokojąco cienka, ma na sobie fioletowe bawełniane pończochy, posiada trykoty, które widać dokładnie spod krótkich spódnic, eigerowski kaftanik z długimi rękawkami i żółtą letnią suknię bez rękawów z cokołkiem pogniecionymi falbanami, na których wzrok mój spoczywa z ciężkim pożądaniem.

Dla odwrócenia uwagi, zrzucam z siebie odzienie, i pozostaję w uprzednio włożonych kąpielowych trykotach. Mimo wrzaskliwych protestów laziebnych, wyciągam ręce do popisowego skoku i sfruwam wspaniałą „jaskółką” na środek basenu. Nie bacząc na krzyki kąpielowej obsługi, wykonuję tę czynność siedem razy z rzędu, aż do zupełnego „oczyszczenia”.

Po otrzeźwiającej rytualnej kąpeli udajemy się wszyscy na ulicę Pawia, gdzie mają się odbyć zaśluby Steffi Kostki Napierskiego z „negelsznejderką” Wandą Melcer.

Kiedy suniemy w górę po namydlonych schodach, moja towarzyszka wskazuje mi drzemiącą w poczekalni skuloną posturę, w której rozpoznaję Taddy Boya.

— Niech pan da mu parę groszy, tak, żeby dotknął jego ręki, to on już będzie ten mężczyzna, dla którego oczyszczamy się w mykwie.

Idąc przez Pawia, powracam jeszcze myślą do drobnej skulonej postaci. Biedny zgarbiony chłopczyca, magiczny kochanek wszystkich kąpielowiczów, musi dźwigać ten erotyczny balast męskich i damskich pożądań, a ciężka duszna masa naczyniowa atmosfery przewala się koło niego zaledwie go dotykając. Wzrok jego jest mętny, cała postać wyraża zupełną obojętność dla spraw tego świata.

Ale oto jesteśmy wszyscy u celu i rozpoczynamy przygotowania do

ślubnych obrzędów. Ścisk taki, że trudno się poruszyć, cała zawartość Ipsu, Adrji i Ziemiańskiej z „marszelikiem” Albrechtem na czele wyległa hucznie, buńczucznie na zaślubiny młodej pary.

Pan młody jest dziwnie małego wzrostu, ma twarz dziecka i oczy jakbyby zaplakane, może to będzie nieładnie z mojej strony, ale powiem poprostu, że pan młody dy plące. Podprowadzono go pod baldachim i oto stoi teraz w eigerach obok narzeczonej, która wyniosła postawą równoważy jego małość.

Czterech „szabesgojów” przytrzymuje lakierowane drażki „chuppy” czyli baldachim. Na środku natłoczonej izby stoi szaroki stół zastawiony potrawami: Ciulenty, bejgely, kugiele, rybki, gęsie pipki, mejgely, „felfelki” i chały piętrzą się licząc na apetyty zgromadzonej masy.

Podtrzymywany przez „szameśów” splakany Steffi-Kostka-Napierski zbliża się do Wandy oblubienicy i starodawnym zwyczajem opuszcza jej na twarz zasłonę, utkaną z mętnych iluzji, poczem rabin podaje mu kieliszek do stłuczenia na szczęście.

Wśród głuchej ciszy rozlega się tupnięcie słabej nogi walego młodzieńca, raz, drugi raz — i ciagle na nic, kieliszek nie pęka. Pan młody kopie ze zdwojoną siłą, niestety kieliszek pozostaje nienaruszony. Spocony, zziębnięty w rozpaczliwych podrygach podskakuje biedny Kostka, usiłując roztluc kieliszek. Upiływają chwile oczekiwania, łączą się w minuty, kwadransy... Wreszcie pan młody błąd z wyczerpania osuwa się bezwładnie na ręce starych, zdobnych w peruki kobiet.

„Marszelik” Albrecht i rabin Grydzewski rozkładają beznadziejnie ręce i drżącymi głosami ogłaszają, że ślub jest nieważny. Młodzieniec, powiedzmy to między nami, okazał się dość miernym atletą, skoro nie miał na tyle siły, aby roztluc kieliszek.

— Taki wafły „szmokunie” nie może się nadawać na męża dla tak potężnej „nykajwe”, jaką jest pani Wanda Melcer.

— Zegnajcie zatem tańce i swawola, zegnaj weselny „brojgeltanc”!

Uroczystość się nie odbędzie. Zegnajcie „mejgele, kugiele, bejgele, gęsiepipki, leberkes, szpondry i ciulenty”!

Wracałem z panią Irką, objawsz ją smutnie za gęsią szyję. Szliśmy pełnymi wybojów ulicami, oświetlonymi słabo przez łukowe lampy...

Później nieraz jeszcze wracałem myślą do ciemnych zaułków ponurego ghetta, kolebki owych tak miłych i czarujących bywalców Ipsu i Ziemiańskiej.

Very

W cztery oczy
Intymne rozmówki z Czytelnikami

Pan Andrzej W. Przeczytaliśmy z przyjemnością, bezsprzecznie talent, naturalnie pisać. Pańskie wątpliwości, czy rym „wiosna — radosna” jest dostatecznie wyszukany, wydają nam się uzasadnione. Istotnie, krosna będą lepsze, zwłaszcza w tym wypadku. Tango wymaga pewnej rozluźnionej twarości, jak Pan słusznie zdawał. Kapitalny i pełen dyskretnego humoru jest asonans „batem — ratę”.

Co do drugiej części Pańskiego listu, to możemy odpowiedzieć tylko: odwagi, kochany Panie, odwagi! Nie tracić nadziei! Prawda, że Pańskie rozgoryczenie jest całkowicie słuszne, że wiadomy symbol uznania ze strony społeczeństwa względnie się Panu należy, ale dlaczego Pan przypuszcza, że odrzucimy Pańską propozycję? Przeciwnie, właśnie my rozumiemy i szanujemy Pańskie izy i chętnie zajmujemy się zbieraniem składek na wiadomy cel. Nie wydaje nam się tylko, aby miejsce było odpowiednie. Raczej Mickiewicza przemieść przed Prezydium Rady Ministrów, a Pański postawić naprzeciwko Trebackiej. Zresztą, jest wolne miejsce na skwerku Hoovera. Czy, ewentualnie, to miejsce dogadzałoby Panu? Co? Tak tuż pod bokiem...? Prosimy o rychłą odpowiedź, gdyż chcielibyśmy zaraz po niedzieli rozpocząć zbieranie składek. (Pańskie pięć złotych, zapiszemy, naturalnie, jak Pan sobie życzy, p. t. „Bezimiennie od wielbiciela”).

Pan Profesor. Naturalnie, że to wszystko są skutki nieszczernej wyprawy kijowskiej i braku porozumienia ze sprzymierzonymi. Jednakże wydaje nam się ryzykowne twierdzenie, że ustęp B. trzeciego punktu, artykułu jedenastego, paragrafu siódmego dodatkowej umowy do konwencji lozańskiej nie upoważnia pana B. do tej interpretacji. Ustęp C. zawiera słowo „załącza się”, nie zaś „wzywa się”, a więc, jak Pan Profesor widzi, wnioski są dalekoidące.

Chętnie dopomożemy Panu Profesorowi do zrealizowania wyhszczelnego celu. Wprawdzie pan B. upiera się, że z posady nie ustąpi, ale, na wszelki wypadek, niech nam Pan Profesor przysła obiecany dłuższy referat, koncentrujący ustęp D. umowy dodatkowej. Może jakiś przekonanym pana B., że w okresie wydarczeń tak doniosłych bardzo potrzeb-

ni są znawcy umów dodatkowych.

Pan Prezes St.-Dz. Naszym zdaniem, powinien Pan Prezes skierować sprawę na drogę sądową. Jeśli istotnie konkurencja ukryła trzynasty znak Zodiaku, a pogłoski, że jest ich tylko dwanaście rozpierzchły jedynie w tym celu, aby ludzie nieuczciwi nie mogli sobie pokrzyknąć stawiać horoskopów — no, to to jest skandal niesłychany i sprawa wręcz prokuratorska. Niech Pan Prezes nie się nie kępuje, tylko od razu rżnie do sądu. Zgnij w kryminalu, albo ich wsadź na trzy miesiące do B., spiskowców przeklętych.

Pan G. Nie płacz pan, bo posada za nie jest. A gdyby tak było odwrot, to co? Ganiabysy Pan ze szpadlem, a tak, chodź Pan sobie z trzećką. Ze odpoczynku Pan nie ma, tylko cały dzień musi pan latać dookoła i pilnować, żeby który nie dał deba? Wice coż pan tam chciał robić? W brydża grać?

W tem tylko ma Pan rację, że oni wszyscy po jakimś czasie wychodzą, a Pan „furt siedzi”. To prawda. I będzie pan siedział do usiedzianej ewierci. Ale pomyśl Pan, z jaką dumą będzie pan mógł potem opowiadać: „Ja! Ja najdłuższy siedziałem w...” (wiesz Pan, gdzie).

Pan Marjan D. Szczerze Panu współczujemy, kochany Panie. Istotnie, to zły znak. Oni tak zawsze: naprzód wylewają człowieka z klubu, potem mu wylamują zęby, a następnie sadzą do paki. Jeżeli więc na Pan pewne wiadomości, że chcą Pana turpać z klubu i z sejmu, to bardzo możliwe, że potem zamkną Panu najbardziej dochodowy tygodnik i, naostatku Pana. Albo nawet, nie będą Panu zamykać tygodnika, tylko k wydadzą ustawę, że nie wolno pisać o morderstwach i zbrodniach i w ten podstępny sposób Pana położyć.

Radzimy Panu tak: niech Pan dzienniki przekształci na tygodniki, a tygodniki na dzienniki. To uspi trochę ich czujność. Potem niech Pan tygodniki przekształci na miesięczniki, a dzienniki na... (no, domyśla się Pan? Żeby wychodziły w nocy). To ich całkiem zdeorientuje. A jak Pan przekształci te dzienniki, to niech Pan weźmie z kasy całą forę i zwieje do Ameryki. Jedyna rzecz, drogi Panie.

Spowodu wypuszczenia w obieg nowej
nadbardzo udanej stuzłotówki



Nasz projekt nowej stuzłotówki
(W lewym owalu zagadka dla dzieci i młodzieży:
„Sukaj myśliwego”).

Janusz Minkiewicz

Polska na niebie

Z konkurencją światową
Wciąż jesteśmy na remis:
Wygrujemy w powietrzu —
Przegrywamy na ziemi.

Chudzi, smukli rodacy
Zapatrzyli się w górę —
Wieżę głowę w powietrzu.
Kiedy dół bierze w skórę.

W meczach, w Lidze i w Radzie
Wciąż zadają nam bobu...
Posłuchajcie więc mego
Na to wszystko sposobu:

W Polsce nie nie zdaliśmy,
O ten każdy już żył wie,
Wice sprzedajny ojczyznę
Niemcom, Rosji i Litwie!

Choć wyglądać to będzie
Nico zbyt po żydowsku,
Lecz przestanie nasz prestige
Ciagle wisieć na... wniosku.

Z osiągnięta gotówką,
Z miłą chytrą i planem,
Wycofamy się hynkiem
Wraz z Pokrzywką, Bajaniem.

Przeniesiemy się w chmurę,
Zamieszkamy na niebie,
Bo wygodniej tam będzie,
Niż na globie i glebie.

Zabierzemy się wszyscy —
Coż z milionów trzidzieści —
Bo na stropie niebieskim
Cały kraj się pomieści.

I do góry nogami
Každy z nas będzie chodzić
Po niebiańskiej powale,
Jak zza mierz antypodzi.

Spasie spowrotem na ziemię
Nikt z przybyszów nie zdąży:
Już Krzywicka odkryje
Nowe tam prawo cięży!

Urządźmy tak państwo,
By sąsiadów krzyk ucichł:
Już nam nie nie przeszkodzi
Z sobą tylko się kłócić!

I w tamtejszej ojczyźnie
Zostaniemy ci sami:
Zabrudzimy niebios
Niechlujnymi miastami.

Ogłosimy następnie
Reform plan bardzo drogi,
Aby łbami kociemi
Usiąć bruk Mlecznej Drogi.

A gdy gwiazda sukcesów
Będzie stawać się bledsza —
Zrobia czystkę w obłokach
I sanacje powietrza.

Kiedy już zakończymy
Przeprawadkę na chmurze,
Rozpętnamy na wiat
Blyskawice i burze.

Obwieścimy tak światu
(Jeśli nie się nie zmieni)
Chwałę na wysokościach,
No, i pokój na ziemi...

Amnestja

I my ogłaszamy amnestję. I nam też przyszło do głowy, żeby choć na krótki okres czasu dać wytchnienie naszym ofiarom. Postanowiliśmy, począwszy od następnego działu satyry, obdarzyć amnestją następujące osoby:

A więc:

1) Pos. Strońskiego nie będziemy poruszać w naszych satyrach w ciągu — 4 tygodni.

2) Min. Beck dostaje również amnestję 4-tygodniową za zasługi, położone w roku 1905-ym.

3) P. Kaden-Bandrowski Juliusz pod warunkiem, że przez cały ten czas będzie się sprawować nienagannie, dostaje amnestję 3-tygodniową.

4) Miriam ze względu na podeszły wiek, dostaje amnestję dwutygodniową.

5) P. Krzywicka dostaje bezterminową, zależną tylko od naszej fantazji, amnestję, wobec niewątpliwych zasług na polu krzewienia kultury seksualnej w Polsce.

I tak dalej, i tak dalej...

Zaużyliśmy się nam te rekwiizyty humoru. Rozglądamy się za cenzurą nowym, lepszym... Bierzemy białą kartę papieru i umieszczamy na niej naszą czarną listę. Nowe twarze, nowe

nazwiska. Lista niekompletna ciagle będzie uzupełniana. Prosimy czytelników o pomoc w wyznajdowaniu świeżych ofiar. Poszukujemy nowych twarzy!

A oto nowa, niekompletna czarna lista:

1) Wacio Grubiński — nudziarz do „Tańca” i do różańca.

2) Zdzisław Kleszczyński groźny nasz konkurent z narodowej prasy.

3) Andrzej Włast — nazwisko mówi samo za siebie.

4) Madame Krzyw... (Nie! Przeczyszam. Pomyliłem się. To wszystko ten nieszczęśny kompleks Krzywickiej. Ale przysięgam: to ostatni już raz, kiedy wymieniam nazwisko jej ssekselucji...).

5) Wincenty Rzymowski, słynny jako piętnasty akademik literatury.

6) Kpt. Lepecki z okolic Żywca, oraz ze względu fonetycznych panowie:

7) Galis,

8) Wallis — obaj literaci.

Tudzież:

9) aktor Benda i

10) aptekarz Wenda!

Pozatem na owej liście znajduję się wiele innych nazwisk, których chwilowo nie podajemy, aby nagle i niespodziewanie zaskoczyć nowe ofiary.